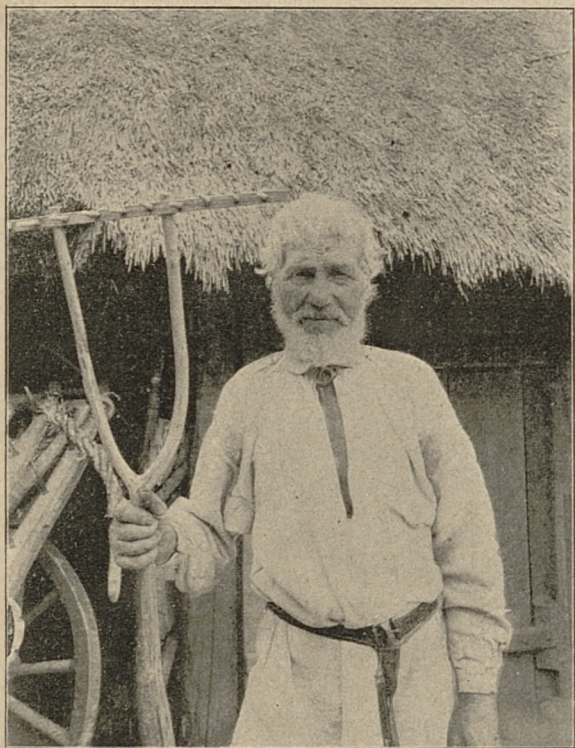


TYPY LUDOWE.



RUSIN Z OKOLIC MIZOCZA, POW. DUBIEŃSKI.



fol. ze zb. Pol. Tow. Krajocz.

TYPY RUSINEK Z OKOLIC MIZOCZA POW. DUBIEŃSKI.



S. Matusiak.

Jeszcze o naszej drużynie weselnej.

4)
(dok.)

Ponieważ wita (król) mógł zawitać (przybyć) do danej dzielnicy, nieraz dość odległej od miejsca, w którym zwyczajnie witał (gościł, przebywał¹⁾), tylko raz na rok, a potrzeba częstszego załatwiania spraw, zwłaszcza drobnych okazywała się konieczną, więc sprawy takie musieli zdawna załatwiać w imieniu naczelnego wita (króla) dygnitarze, witolowie rodowi, dopóki ta nazwa się utrzymywała, potem starostowie, kmiecie, inaczej komesowie lub kmietowie, żupani, panowie. W XIV wieku dygnitarze ci zowią się u nas starostami, a załatwiają już wtedy sprawy w otoczeniu dygnitarzy miejscowych w tym samym zakresie, co król, bo królowi już trudno być w każdej prowincyi nawet raz na rok. Ale już w XIV wieku starostowie nie mogą podolać wszystkim sprawom danej prowincyi, więc ważniejsze sprawy, np. karne, sami załatwiają, a inne przechodzą w ręce sędziego i podsędka, ustanowionych dla każdej dzielnicy. Ci objężdżają w stałych terminach dzielnice swoje i w stale oznaczonych miejscach odbywają tak zwane roczki, t. j. małe roki, gdyż sądy królewskie zowią się rokami t. j. wielkimi rokami. Ponieważ zdrabnianie wyrazów odbywało się u nas niegdyś także przez dodanie do wyrazu niezdrobniałego przyimków *po* lub *pa*, skąd *jata* (chata) i *po-jata* (pierwotnie to samo, co *jatka*), skąd *góra* i *pagór* (pierwotnie to samo, co *górką*), więc zamiast *roczek* mówiono także *porok*, a gdy wyrazy *po* i *pa* straciły z czasem znaczenie zdrabniania i wyrazy jak *porok*, *pagór* poczęły uchodzić za niezdrobniałe, powstały formy drugorzędnie zdrobniałe *poroczek*, *pagórek*. Formy drugorzędnie zdrobniałej *poroczek* w znaczeniu *roczka*, t. j. małego roku, używa

jeszcze Statut wiślicki w tłumaczeniu z roku 1460¹⁾. Powstały tym sposobem stałe sądy i okręgi sądowe, na które podzieliły się dzielnice polskie, stałe sądy i okręgi, dla których wnet ustaliła się i nazwa, gdyż niezawodnie zdawna była gotowa.

Powiedzieliśmy już wyżej, że to samo znaczenie, co *rok*, miał wyraz **wiat*; dodajmy teraz, że skoro „mały rok“ zwał się *roczek*, a inaczej *porok*, toć w tem samym znaczeniu zamiast **wiatek* musiało się używać forma *powiat*. Zamiast *roczek* lub *poroczek* można tedy było powiedzieć niegdyś *powiat* — i oto, skąd się wziął ten wyraz i co pierwotnie znaczył. *Powiat* to pierwotnie to samo, co *roczek* lub *poroczek*, co *mały rok*, co *mały sąd*²⁾. Od miejsc, w których się odbywały te małe sądy, miały one swe nazwy; był więc *powiat* (*mały sąd*), dajmy na to, *krakowski*, *wielicki*, *lubelski* i t. p. Ponieważ każdy taki sąd mały miał swój stały okręg, więc z czasem poczęto i te okręgi zwać *powiatami*, a gdy z czasem okręgi te stały się więcej okręgami politycznymi, aniżeli sądowymi, poczęto przez *powiat* rozumieć pewną polityczną część kraju.

Dotąd jeszcze przechowały się nawet pewne ślady, jak przed wiekami odbywały się tak nasze **wiaty*, t. j. roki czyli wielkie sądy, jak i *powiaty*, t. j. *roczki* czyli małe sądy. Od wyrazu **wiat* „sąd“ brzmiał niegdyś przymiotnik nie tylko *wiec-a-e*, jak to zaznaczyliśmy wyżej, ale także **wietn-tna-tno* (później: **wietny-a-e*), więc to, co Niemcy nazywają *Gerichtshof*, musiało u nas nazywać się *sieñ wietna* (sieñ sądowa), gdyż jeszcze w wieku XV oznacza u nas

¹⁾ Na wiecach albo na „poroczkach“ Statut wiślicki w tłumaczeniu z r. 1460, str. 13b.

²⁾ Pod rokiem 1444 czytamy: „iudicium formatum vulg. powath“. Prace filologiczne V, 36.

¹⁾ Witać w znaczeniu „gościć, przebywać“ mamy jeszcze w języku starocerkiewnym.



sień to, co niemieckie Hof (dwór, pałac), jak świadczy Biblia królowej Zofii z r. 1455 i inne zabytki z tego czasu¹⁾. Lecz jak zamiast wyrażen: „kobieta komorna“, „izba ciemna“, „komora piwna“ i t.p. powstały z czasem wyrażenia: komornica, ciemnica, piwnica: tak zamiast wyrażenia „sień wietna“ musiało z czasem powstać wyrażenie: „*wietnica*“. Skoro zaś siedziba wiatów t. j. roków czyli wielkich sądów zwała się wietnicą, to siedziba powiatów t. j. roczków czyli małych sądów powinna się zwać *powietnicą. I bardzo być może, że się istotnie tak nazywała, ale historia naszego języka, o ile przynajmniej mnie wiadomo, wyrazu *powietnica nie zna; jeżeli więc kiedykolwiek istniał, to zaginął, zanim go zdołano zapisać; mamy natomiast pewne wskazówki, że siedzibę roczków zwano u nas *powiecia, *powieć i *powiatka, a jak do tego przyszło, nie łatwo sobie wyobrazić.

Jak, dajmy na to, od kret przymiotnik brzmi: kreci — a — e, tak od powiat musiał niegdyś brzmieć: powieci — a — e; więc zamiast sień powietna lub, jak dzisiaj sień powiatowa, można było niegdyś powiedzieć: „sień *powiecia*“. Wyraz sień jako łatwe domysłny opuszczono, więc przymiotnik *powiecia musiał z czasem ustalić się jako rzeczownik i przyjąć formę *powieć, w zdrobnieniu *p powiatka (jak mamy kleć i klatka), gdyż tak samo dawne formy, jak łódzia, pościela, lato-rośla, topola i t. p., przybrały z czasem postać: łódź, pościel, latorośl, topol²⁾. Język polski nie przechował wpra-

wdzie wyrazów *powieć, *powiatka, ale język białoruski używa dotąd wyrazów powieć i powietka, zna dotąd powitkę Rusin, zna powietkę Rosyanin. A cóż dzisiaj oznacza powieć, powietka, powitka? Oto rodzaj szopy, zwyczajnie bez żadnych ścian, której dach opiera się na słupach¹⁾.

Rzecz całkiem widoczna, że po zjednoczeniu Litwy i Rusi z Polską, gdy szlachta poczęła w tych stronach odbywać swe roczki czyli powiaty, odbywała je początkowo na otwartym polu, stawiając w tym celu tylko szopy na słupach, zwane *powieciami, *powiatkami, wyrazem przyniesionym (zapewne już w znaczeniu „szopy“) z Korony, gdzie, jak z tego wynika, pierwotnie nie tylko roczki, ale zapewne i roki w ten sam sposób odprawiano, zwłaszcza, że pierwotnie nie były przywiązane do jednego miejsca. I tak też zapewne wyglądała pierwotnie nasza wietnica i *powiatka. Gdy z biegiem czasu powstało wiele grodów i zamków, gdy powstały obszerne i wygodne siedziby panów i szlachty, tudzież liczne kościoły i klasztory, budowanie wietnic i *powiatek stało się niepotrzebne i powoli pamięć ich zaginęła, nawet w znaczeniu szopy na słupach (w którym to znaczeniu *powieć i *powiatka najdłużej się utrzymywała, aż wreszcie na Litwę i Ruś się dostała), gdyż świeżo przyniesiony z Niemiec a więc modny wyraz szopa w tem samym znaczeniu uczynił te wyrazy zbytecznymi. Po miastach tylko, gdzie wietnice były stałe i zdawna stały się najokazalszemi budowlami publicznymi dla załatwiania sądów i innych spraw miejskich, utrzymywała się ta nazwa jeszcze w wieku XV, dopóki niemiecki ratusz, przyniesiony z kolonistami niemieckimi może już w XIII wieku lub wcześniej, nie wyparł jej z odwiecznych praw i siedzib.

¹⁾ W Biblii Król. Zofii czytamy np.: (Król) „sprawiał (gubernabat) sień a sądził lud ziemski“, str. 217a. Wyraz sień, pierwotnie, *siedń, tego samego pochodzenia, co *siedzieć*, oznacza pierwotnie „siedzibę, siedlisko, mieszkanie“.

²⁾ Wyraz *powiecie przypomina żywo inny stary wyraz podobnej formacji, a mianowicie wyraz *chibzia*, znany dotąd u ludu na Kujawach w formie *chibzio* (*hibzio*), jak świadczy O. Kolberg, Kujawy II, 271. *Chibzia* to pierwotnie także przymiotnik, jak *powiecia, od wyrazu *chibza*, wyrazu, który dostał się do nas ze staroniemczyzny; brzmiał tam *chib(e)s*, a oznaczał „dziewkę (Magd)“. *Chibzia* z dodatkiem *izba* oznaczało to „izbę dla dziewczek we dworze“. Z czasem rze-

czownik *izba* opuszczano, skutkiem czego wyraz *chibzia*, w wymowie ludowej *chibzio*, stał się rzeczownikiem w znaczeniu izby dla czeladzi żeńskiej we dworze; takie izby istniały u nas po dworach jeszcze w pamięci Glogera w Tykocińskim i zwały się *babieńcami*. Zob. Prace filologiczne IV, 797.

¹⁾ J. Karłowicz. Słownik wyrazów obcych. Wisła III, 311. Prace filologiczne V, 133.



Podobnie jak dla miast, tak i dla ludności niewolnej po wsiach wiaty czyli sądy w zwyczajnych sprawach były na miejscu. Po wsiach wykonywali je setnicy z dziesiętnikami (bo ludność niewolną dzielono z dawna na setki i dziesiątki), ludzie także niewolni, lecz znaczniejsi i lepiej wyposażeni ziemią, zwani swojskim wyrazem starostami (na wzór godności rodowych), z cudzoziemską zaś żupanami, panami¹⁾, kmieciami, nawet grafami, skąd u nas

¹⁾ Rzecz charakterystyczna, że u nas setnik jeszcze w XV w. zowie się stupan „pan nadstoma”. Zob. Rozprawy Akad. Umiej. Wydział filolog. t. 24, str. 385.

dotąd kmieć oznacza zamożniejszego gospodarza, a u niektórych Słowian wójta, skąd też i kaszubszy wiejszy grafowie. Tutaj więc okręg wiatu (sądu, roku) był zarazem okręgiem danej miejscowości, tutaj zatem dana miejscowość i wiat pokrywały się najzupełniej. Zapytać się kogoś, z jakiego on wiatu, znaczyło więc tutaj to samo, co zapytać go, z jakiego on miejsca, z jakiej on miejscowości. Tym sposobem wyrazy wiat i miejsce, miejscowość stać się musiały z czasem synonimami, a że to nastąpiło, dowodem język litewski, w którym wyraz wiela oznacza dzisiaj „miejsce, miejscowość”, a do którego dostał się zapewne od Białorusinów.



Stefania Sempołowska.

MAZURY PRUSKIE.

Na północ od gub. łomżyńskiej i płockiej, wzdłuż granicy Królestwa Polskiego (od Mławy do Przerośli) ciągnie się szerokim pasem (dl. 209 klm., szer. 90 klm.) ziemia zwana Pruskiemi Mazurami.

Geograficznie stanowi ona całość z sąsiedniemi guberniami Królestwa Polskiego, a interesować nas musi z powodu jedności etnograficznej, zamieszkała jest bowiem przez Mazurów.

Kraina ta stanowi część płyty Bałtyckiej, wzniesioną około 100 metrów nad poziom niżu polskiego. Powierzchnia jej nierówna, bezładnie garbata. Łagodne, kopiaste wzgórza ciągną się łańcuchami, przecinającymi, zbiegającymi i rozbiegającymi się, a między nimi są wklęsnięcia, w których ścielą się kobierce bagniste łąk, połyskują zwierciadła wód zamkniętych w jeziornych kotlinach; wśród lasów i łąk błędnymi drogami wiją się rzeki, łączą się, płaczą, tworząc sieć wodną.

Wysokie brzegi pokrywają piękne lasy, drzewa przypierają do samej powierzchni wód. Kraina ta przedstawia najróżnorodniejszą kombinację wyniosłości i zapadnięć, wód i lasów. Zda się niema tu ani kawałka równi; jakby ziemię tę przeorał w skiby i brózdy pług olbrzyma. Dna jeziorne przedstawiają tę samą mieszaninę kształtów i form powierzchni.

Taka rzeźba gruntu, to przedewszystkiem praca lodowca, o którego wielkości i potędze może mówić warstwa morenowa, przeciętnie grubości 100 metrów, a dochodząca gdzieś do 200 metrów¹⁾. Ciśnienie masy lodowej wywoływało to urozmaicenie powierzchni; lodowiec wypełniał doliny i zagłębienia, rozszerzał je, pogłębiał, brzegi ich podnosił. Lodowiec włókł ze sobą odłamy skalne, masy strzaskane

¹⁾ Pokłady jurajskie pod warstwami lodowemi są też pocięte.



i zmiążdżone, osadami tymi pokrywając powierzchnię, a moreny czołowe i boczne zostawiając jako wały usypisk. Kolejne cofanie się i posuwanie lodowca wywoływało mnóstwo zmian powierzchni. Wody tającego lodowca prowadziły dalszą pracę, strumienie spadające z masy lodowej żłobiły zagłębienia.

Lodowiec przyniósł tu takie mnóstwo kamieni, że wszędzie spotyka się olbrzymie głazy, rozrzucone pojedynczo lub tworzące wały kamieniste, drobniejsze zaś rozsypane wśród gruntu w takiej ilości, że gdy rolnik wybiera je z powierzchni, pług jego wydobywa z głębi ziemi nowe zasoby. Legenda ludowa kamieniom tym przypisuje dyabelski początek (dyabeł wybierał na pustyni kamienie i niósł je do morza, worek się przerwał, kamienie zasypały ziemię).

Warstwy osadowe składają się z piasku, marglu i gliny (czasem bardzo urodzajnej). Piasek zajmuje największe przestrzenie, a do niedawna chciwie zagarniał coraz większe obszary — teraz zalesienie powstrzymuje jego zabórczy pochód. Utwory osadowe nie przedstawiają nigdzie warstw ciągłych, w jednym miejscu grubość gliny lub piasku dochodzi zaledwie kilkunastu metrów, a tuż obok nagromadziły się pokłady dochodzące 150 metrów.

Lud dzieli całe Mazury na trzy części: Mazury piaszczyste na zachodzie, kamieniste w środku i garbate na wschodzie. I rzeczywiście ziemia ta przedstawia trzy odmienne formy geograficzne: na wschodzie od Niborka — wyżyna ciągnąca się do rzeki Omulewa (dochodzi na Górze Złotej koło Niborka — do 235 m. wysokości); dalej ku wschodowi grzbiet Żądborski (przeciętnie 170 m. wysoki), zniżający się ku północy, pokryty mnóstwem jezior; jezioro Mamry leży tylko 117 m. nad poziomem morza, wyniosłości zaś między wodami niewiele przechodzą 200 m. (najwyższy punkt koło Kobultu 219 m.); wreszcie na wschodzie pogórze Gołdapi, dochodzące do wysokości 309 m. (górna Szeska).

Najpiękniejsze, najbardziej malownicze są środkowe wzgórzyste okolice Lecu, zwane Szwałcaryą Mazurską. Połączenie wzgórz i jezior, wielkich lasów z wielkimi obszarami wód, nadaje tej krainie urok i piękno niezwykle. Mnóstwo kotlin i zagłębień płyty Bałtyckiej wypełniają wody, pokrywając znaczne przestrzenie (według obliczeń jeziora mazurskie zajmują 84745 ha). Dziesiątki tysięcy jezior nadały tej ziemi nazwę Pojezierza. Kształty i rozmiary jezior są najrozmaitsze: jedne jak Śniardwy obejmują 163 klm, inne drobne wyglądają niby małe kałuże. Jedne okrągłe, zda się cyrklem wykreślono ich brzegi, inne pająkowato wyciągają na wszystkie strony długie cienkie odnoża, inne wreszcie niby odcinki rzek zamykają się wśród równoległych brzegów. Przyczyną wytworzenia się tych zbiorników wód było bardzo wiele. Jedne powstały dzięki „martwym lodowcom“ t. j. oderwanej masie lodu, inne przez zatamowanie dolin rzecznych osadami. Nie można też zapominać, że przy oziębieniu klimatu ilość opadów przewyższała parowanie, że blisko są warstwy nieprzemakalne, że przy znacznej obfitości wody zaskórnej na płycie Bałtyckiej (kanały podziemne, jaskinie) — warstwy zewnętrzne są przesiąknięte wilgocią, (często wzgórze piaszczyste od tafli wodnej po szczyt przesiąknięte wodą), co utrudnia odprowadzenie wód, żłobienie na powierzchni dróg wodnych.

Jeziora nie powstały jednocześnie, wiek ich jest bardzo różny.

Szerokie, płaskie wgłębienia, w których leżą Mamry, Newocin i Śniardwy, są najstarsze; wytworzyły się prawdopodobnie w czasie pierwszego okresu lodowego (w występach gliny znaleźć można szczątki zwierząt, które żyły w wodach w okresie międzylodowcowym). Rozmiary wód były wtedy większe, dopiero moreny drugiego lodowca i wody jego tające zmieniały pierwotny charakter. Inne kotliny jeziorne ukazały się później. A podział lądów i wód nie jest tu jeszcze skończony.

G. D. N.





Jerzy Lande.

Z T A T R.

2)
(dok.)

II.

Przeszły dwa dni świąteczne, poświęcone wypoczynkowi i sybaryckiemu rozkoszowaniu się towarzystwem miłych ludzi przy suto zastawionych wielkanocnych stołach. A trzeciego (25 marca) ruszałem na nową wyprawę. Tym razem spotkało mnie ze strony dwóch wybitnych taterników¹⁾ zaszczytne zaproszenie do wzięcia udziału w wycieczce niecodziennej: celem jej było rozwiązanie jednego z ostatnich „problemów“ zimowych w bliższej Zakopanego części Tatr polskich — przejście granią z przełęczy Koziej na Kozie Wierch. Grań ta, wyróżniająca się swym śmiałym profilem o dwóch prawie prostopadłych uskokach, przedzielonych poziomym zębatym grzbietem Kozich Czub, stanowi najpiękniejszą część szlaku t. zw. „Orlej Perci“, i z całego szlaku najdłużej (jeśli nie liczyć drobniejszych partyi w części wschodniej) pozostała w zimie nie zdobytą.

Tym razem, w przeciwieństwie do wyprawy na Świnnicę, wymarsz się odbył spokojnie i pogodnie. Przed piątą wyszliśmy z Kuźnic z lekkimi, na jedną dobę obliczonymi workami, w uzbrojeniu alpejskim, z większą ilością lin, stosownie do powagi zadania, ale bez nart: te skrzydła, lotne, gdy się na nich leci po śniegu, zmieniające się w narzędzia tortury, gdy je wlec trzeba na ramionach, postanowiliśmy zostawić w domu. Woleliśmy brnąć w śniegu, co nam groziło tylko na przestrzeni od hali Gąsienicowej do Czarnego Stawu, niż dźwigać narty przez dwie i pół godziny na halę. To też lekko i swobodnie szło się przy blasku wieczornego słońca, przy śpiewie skowronków, dolatującym z dolin aż ku śnieżnym wyżynom. Miło przeszedł wieczór w schronisku przy nieskończonych rozmowach o Tatrach i szybko przeleciała noc.

Nazajutrz rano był mroźny i cały srebrny od lekkich mgieł prześwieconych przez młode słońce. Poszliśmy wprost w ten blask słoneczny, bijący z ponad grani, gdzie dwoma śmiałymi uskokami wycinała nam się na niebie dziesięjsza nasza droga.

Śnieg, ścięty mocno mrozem, niósł nas wybornie, prawie bez zapadania, i, ciesząc się z pomysłu zostawienia nart, w pół godziny stanęliśmy nad Czarnym Stawem. Lodowa powierzchnia jego pokryta była tak grubą warstwą śniegu, że czekając w nią wchodziłem po rękojeść, nie dosięgając lodu. Woda, spływająca w dni ciepłe z gór, poczyniła na matowej powierzchni śniegu całą sieć dziwnych wzorzystych plam, które teraz połyskiwały w słońcu swą lodową skorupą.

Ruszyliśmy po równinie stawu, idąc ku ścianie Granatów, która za lekką, przesłonecznioną mgłą zdawała się wznosić w nieskończoną dal, aż ku słońcu. Ale gdy weszliśmy w cień Granatów — ściana ta nagle zawisła nad nami tak bliska, tak dotykalna, że chciało się ręką sięgnąć do jej szczytu.

Za stawem gładka, twarda pochyłość śnieżna, ukrywająca pod sobą cały świat piargów i głazów, latem tak dokuczliwych, prowadziła nas przez kilka mniejszych progów na wielki próg nad Zmarzłym Stawem. Od stawku, głęboko zasypanego śniegiem, wznosiła się szeroka, u góry zwężająca się między skałami, pochyłość śnieżna aż ku Zawratowi. Lecz my, przypięwszy tu do nóg raki, wzniesiliśmy się na lewo ku Koziej Dolince.

Teraz strome pole śnieżne szło od nas wprost ku czarnym ścianom szczytowym, groźnie wiszącym nad doliną. U góry wązki język śnieżny między skałami przedzierał się aż do nieba: tam był nasz cel najbliższy — Kozia przełęcz.

Wypadło związać się liną, gdyż obsunięcie się na twardym śniegu mogło grozić, jeśli nie katastrofą, to w każdym razie przykrą stratą czasu. Kolejno, zabezpieczając się wzajemnie, dość szybko jednak, szliśmy do góry, szukając oparcia na wbitych w śnieg czekanach. Z dwóch stron zbliżyły się do nas czarne ściany skalne, pozostawiając tylko wązkie przejście. Śnieg czynił się coraz bardziej stromy, i już nie koniec czekana, tylko stalowy jego dziób wbijał się w twardą skorupę. Nagle pochyłość przeszła w łagodne siodło, słońce nas oblało i staliśmy na przełęczy.

Wejście to po gładkiej i jednolitej korze śnieżnej poszło nam z tak małym nakładem wy-

¹⁾ Pp. Maryusza Zaruskiego i Jana Małachowskiego.



fol. J. Lande.

LAWINA W ROZTOCE.

silku i czasu w porównaniu do uciążliwego wspinania się po głazach latem, że zdziwienie ogarniało nas na myśl, iż oto zaledwie drugi raz w zimie stopa ludzka dotyka przełęczy.

Nastąpił krótki posilek. Stojąc w słońcu na wązkim siodle przełęczy, owiewani przez lekki mroźny wiatr, przegryzaliśmy coś naprędce dla pokrzepienia sił i badali jednocześnie dalszą naszą drogę. Czekano nas poważne zadanie. Nie mogąc wdrzeć się wprost na śmiały uskoki grani Kozich Czub, szlak Orlej Perci schodzi wzdłuż spadzistego żlebu kilkanaście metrów ku dolinie Pięciu Stawów, przekracza żleb i jego ścianę przeciwną, pnie się skośnie ku grani, przez którą się przewija na stronę północną, aby stromymi żlebami wznieść się na grani już ponad uskoki. Cała ta partya opatrzona jest obficie klamrami i linami stalowymi, a w najbardziej stromym miejscu przybita jest do skały kilkometrowa żelazna drabina. Teraz cały ten aparat pomocniczy ukryty był pod śniegiem, gdzieś tam tylko wynurzała się pojedyncza klamra. Na skałę zaś wszystkie nierówności, tworzące stopnie i chwytne, pokryte i wygładzone zostały przez zdradziecki lód.

Całe oparcie nasze w ostrzu czekana i w zębach raków.

O jedenastej ruszyliśmy naprzód. Zaczęła się twarda skupiona praca trzech ludzi złączonych liną w jeden żywy i sprawny organizm. Szedł każdy z nas kolejno, zabezpieczony przez towarzyszy, bardzo powoli, z wielkim natężeniem uwagi pilnując, aby wciąż w trzech punktach — dwie stopy i czekan — wbijać się w twardą, uciekającą z pod stóp pochyłość śnieżną. Z ostrożnym namysłem, ale ruchem nagłym i silnym przenosiło się kolejno każdą z tych podpór na nowy, dalszy punkt. A potem, gdy się długość liny wyczerpywała, stało się nieruchomo nad wbitym po rękojeść w śnieg czekaniem, śledząc każdy ruch idącego teraz z kolei towarzysza i ostrożnymi ruchami utrzymując linę w odpowiednim napięciu. A wszystko to w skupionym milczeniu, przerywanym tylko komendą kierownika i krótkimi sygnałami o długości pozostałej liny.

Mnie, idącemu na końcu, przy ciągłym ruchu do góry, przypadła rola najbierniejsza i najmniej odpowiedzialna. Szedłem po gotowych śladach, a zabezpieczenie przezemnie towarzy-



W PÓŁNOCNEJ ŚCIANIE KOZICH CZUB.

fol. J. Lande.

szy nie zawsze było potrzebne. To też nieraz wypadło mi długie minuty i nawet dziesiątki minut trwać w zupełnej bezczynności, dbając tylko o pewność własnej pozycji i czekając aż moi poprzednicy gdzieś tam nad moją głową skończą swą robotę i dadzą mi sygnał do marszu. Bawiłem się wtedy podziwianiem przedziwnych koronek i arabesek, jakie się z sopli lodowych na krawędziach głazów i z sadzi śnieżnej na niewidzialnych, szarych listkach porostów skalnych potworzyły.

Sytuacja się zmieniała, gdy chcąc dokończyć zdjęcie, szukałem sobie na własną rękę

dogodnego stanowiska i tam nastawiałem aparat. Wtedy stawałem się na chwilę ośrodkiem.

Tak, w ruchu niezmiernie wolnym, ale z ogromnym wysiłkiem nerwów i uwagi posuwaliśmy się naprzód, z początku szeroką drogą wielkiego żlebu, potem stromymi żlebami na skały pod granią. Tu dał nam się we znaki płytki żlebek, tak wypolerowany lodem, żeśmy musieli z trudem wyrabiać w nim czekaniami zacięcia dla stóp. Wreszcie drabinka wyprowadziła nas na grani. Tuśmy dopiero spostrzegli, że zdążyła nas otoczyć cicha, nieruchoma mgła. Ten kawałek drogi, mogący w lecie zając z 10 minut czasu, zabrał nam teraz półtorej godziny.

Nastąpił poziomy trawerspółnocną ścianą, gdzie śnieg był nieco miękniejszy, a skały mniej oblodzone pozwalały się używać za chwyt, poczem wspinanie

szeregiem niezmiernie stromych żlebków prowadziło nas na grani w miejscu, gdzie się staje prawie poziomą.

Tu wędrówka przybrała charakter swobodniejszy. Przez nieduże ząbki i zacięcia szliśmy już razem, trzymając po parę zwojów liny w rękę. O 2-ej stanęliśmy wreszcie na najwyższej turni Kozich Czub. Pierwsza twierdza była zdobyta.

Zadowolenie zwycięzców mało znalazło odzwierciedlenie w naturze. Otaczały nas wciąż ponure mgły, z poza których raz po raz tylko przeglądały sąsiednie turnie, tak martwe w swej



czarno-białej szacie, tak pozbawione przez mgłę perspektywy, że trudno było je rozpoznać: wszystkie się wydawały jednakowo oddalone, jak liche dekoracje w teatrze.

Znalazłszy zaciszną półeczkę tuż pod turnią szczytową, skupiliśmy się dokoła maszynek i śledząc, jak włożone do nich bryły śniegowe topniały w wodę na herbatę, sprawnie pochłanialiśmy suche zapasy. Dopiero po posiłku dało nam się odczuć dotkliwe zimno atmosferyczne: spytany o zdanie termometru orzekł, że jest 7° mrozu. Nie trzeba też było innej podniety, aby nas poruszyć w dalszą drogę.

W godzinę po zejściu na Kozią przełęcz wyżnią i przewyciężeniu drugiego stromego uskoku grani, stanęliśmy na długim wierzchołku Koziego Wierchu. Zamierzone przejście było dokonane w warunkach doskonale odpowiadających pojęciu zimowego „problemu” był rozwiązany i część wyprawy urzędowa, ta, co miała figurować w rocznikach i sprawozdaniach turystycznych, była zamknięta szczęśliwie. Teraz mieliśmy przed sobą zadanie czysto prywatne, ale dla nas pierwszorzędnej wagi: powrót na nocleg. Zadanie to nie było proste. Była godzina czwarta. Przejście naszej drogi z powrotem ze względu na spóźnioną godzinę było niepodobieństwem. Dalsza część grani i zejście żlebem Kulczyńskiego przedstawiały się problematycznie. Nie pozostawało tedy nic innego, jak, zrezygnowawszy z powrotu na halę Gą-



fol. J. Lande.

WIDOK Z HALI GĄSIENICOWLI NA KOŚCIELEC I KOZI WIERCH.

sienicową do naszych rzeczy i zapasów, udać się na noc do domku dróżnika przy Wodogrzmotach. Zejście ze szczytu ku Pięciu Stawom i 5 kilometrów Roztoki wydawały nam się zabawką.

Rażno się zbiegło, już bez skrępowania liną, wzdłuż szerokiej grzędy, ku dołowi jeszcze rażniej zjechało się dalej w pozycji siedzącej po śniegu, czyniąc obserwacje porównawcze nad wytrzymałością różnych materiałów wełnianych. I oto byliśmy już na lodowej powierzchni Wielkiego Stawu. Mgły tak zasłoniły otoczenie, że nasze postacie na białej szerokiej ró-



wninie czyniły wrażenie podróżników na podbiegunowych polach lodowych. Za chwilę staliśmy nad Wielką Siklawą, a raczej nad jej miejscem, gdyż teraz spadała od naszych stop tylko stroma pochyłość śnieżna. Nowy zjazd postawił nas przed zjawiskiem niezwykle: całą szerokość doliny i dużą część zbocza przeciwnego zajmowało olbrzymie usypisko spiętrzonych na sobie twardych brył śnieżnych, mogące liczyć jakieś 300 przez 250 metrów rozciągłości, a kilkanaście metrów grubości. To stoki Wołoszyna, mające w tym kierunku ustaloną sławę, spuściły świeżo potężną lawinę.

Mieliśmy w naszym gronie jednego świetnego znawcę zimy tatrzańskiej i jednego fotografa. Wystarczyło to, aby poświęcić oglądziom lawiny więcej czasu niż rozsądek na to pozwalał. Spostrzegłszy, że się ściemnia, porwaliśmy się naprzód, lecz śnieg zakpił sobie z naszego pośpiechu. Wśród pierwszych, rzadkich drzew lasu poczęliśmy się zapadać po kolana, po pas, czasem głębiej. I rzekłbyś, że ktoś się pastwi nad nami z wyrafinowanym okrucieństwem. Jeden — dwa — trzy kroki stawiało się z powodzeniem, nabierając otuchy, — i nagle wpadało się niemal po ramiona, aby później z całym natężeniem ostatka wyczerpanych sił wydostawać się z uścisków śniegu na zdradliwą powierzchnię. Nie pomogły żadne sposoby: ani kocie, ostrożne kroki, ani podsuwane przez rozpacz pełzanie na czworakach; pozostawała tylko rezygnacja i zaciekły upór w walce z podstępnyim wrogiem.

A gdy śnieg z dołu wchłaniał nas w siebie i czepiał się nóg, nie puszczając naprzód, w dolinie coraz bardziej ciemniało. Ciasny, lesisty wawóz Rostoki zdawał się bez wyjścia. Nieruchome chmury przykryły go ciemną niską zasłoną od góry, a szare, bezcielesne sylwety smreków zdawały się armią widm, w milczeniu czekających na nasze zatracenie.

Przez chwilę błyszczała nam nadzieja: ujrzelśmy mostek przez potok wiodący na polanę Rostokę, a stamtąd wyraźny kierunek leśnej drogi jezdnej przez las. Lecz na mostku leżał wał śniegu, przewyższający poręcze, a droga, zaledwie wyszła z lasu na dalszą polanę, znów się zgubiła w zaspach. Poszukiwania kończyły się podrapaniem twarzy przez gałęzie niewidzialnych już w zmroku smreków. A latarka nasza leżała zapomniana w schronisku...

Rozsądek nam powiedział, że dalsza walka, choć mogła nas po kilku godzinach doprowadzić do celu, za dużoby nas kosztowała. Lepiej więc było rozłożyć wiatrę i przy niej doczekać ranka. To postanowienie napełniło

nas radością: wszystko wydawało się lepsze niż dalsze brnięcie w zdradliwych zaspach. W parę chwil znalazło się w lesie miejsce wolne od śniegu. Przy pomocy resztek spirytusu zajął wiatr. Otuliliśmy się w płaszcze gumowe — jedyne nasze zapasowe okrycia, i poczęliśmy dzielić skrupulatnie na równe części nędzne resztki, pozostałe po przekąsce na szczycie, z beznadziejną tęsknotą wybiegając myślą do sutej kolacyi, pieca i koców, czekających nas na hali Gąsienicowej.

Wolno, okrutnie wolno wlekły się minuty tej dziewięciogodzinnej nocy. Próbowałem się przykładać do ziemi, lecz zimno od niej bijące szybko mię od tego odwiodło. Łamałem tedy gałązki na wiatrę, a musiała ta praca trwać nieustannie, gdyż to, co się dało rękami nalać, paliło się w parę chwil na popiół. Gdy wreszcie wyczerpanie mię zmogło i towarzysze mnie znowu w pracy zastąpili, stałem nad ogniem, w tępej rezygnacyi przestępując z nogi na nogę...

Tak ten dzień dla mnie pamiętny i w mocne i piękne wrażenia bogaty, nie otrzymał naturalnego zakończenia w zwykłym śnie nocnym, lecz bez przerwy w świadomości przeszedł przez długie, ciche chwile nocnego czuwania w dzień następny.

Zjawił nam się ten dzień nowy, uśmiechnięty jasnym świtem o piątej rano. W 40 minut przebiegliśmy za światła pozostałą drogę do Wodogrzmotów. I nic się nie ukryło przed nami w spiżarni ciepłego domku dróżnika.

Spaliśmy przy stole, oparłszy głowę na rękę między jedną szklanką herbaty a drugą. Spaliśmy potem na każdej kupie drzewa przy odpoczynkach w czasie pieszego marszu gościnnym. Dziwne były te chwile nagłego a krótkiego zapadania w niepamięć. I dziwny był ten marsz z poczuciem, że między nami a powierzchnią drogi leży jakaś przejrzysta lecz opór nogom stawiająca mgła. I dopiero gdy 25 kilometrów szosy doprowadziło nas do Zakopanego, zapadliśmy tam w naszych łózkach w sen długi i krzepiący, po którym obrazy pięknej wędrówki naszej po śniegach wśród czarnych turni odżyły znów, potężne i plastyczne, i zapanowały w pamięci nad wszelkim drobiazgiem i nędzą.

*

Dziwną i piękną bogactwem swych kontrastów jest pora wczesnej wiosny w Tatrach. Od taternika, który się nie ulęknie zapuścić w samo wnętrze gór, wymaga hartu i oporu



w walce z kaprysami natury, bystrości i doświadczenia w oryentowaniu się w zmiennych warunkach. Ale daje mu skalę wrażeń niezwykle bogatą: od wiosny, rozkwitającej pierwszymi kwiatami w dolinach, do mroźnej zimy na opancerzonych lodem szczytach. Daje na szczytach dni upalne z orgią letniego słońca,

szalejącego nad białą śniegów — jak nasz dzień na Świnnicy, i daje dni mroźne, podstępnie ponure, w zasłony mgieł osnute, — jak dzień nasz na Kozim.

I daje taternikowi bezbrzeżną pustkę i żadnym obcym głosem niezmaconą ciszę górskiej świątyni — na własność niepodzielną.



Franciszek Klein.

O zachowanie śródmieścia Krakowa.

I. Masowa przebudowa domów, rozrost miasta, restauracja „Szarej kamienicy.

Rynek krakowski ulega obecnie dużym zmianom. Dwa przeciwległe narożniki przy ulicy Szewckiej i Siennej są przebudowywane, trzeci — „Krzysztofor“ ma być również przebudowany czy nawet całkiem zburzony, a pałac Spiski przerabia się także. Jeżeli do tego dodamy nowy dom Czynciela i projektowane zburzenie w przyszłym roku narożnika ulicy św. Jana — otrzymaliśmy sumę faktów, świadczącą o nagłym i masowym przebudowywaniu Rynku krakowskiego. Te same objawy możemy napotkać w całym śródmieściu, tak że dziś niema rzeczywiście ulicy w obrębie plantacji, na którejby nie było jednego lub więcej domów nowowzniesionych na miejsce starych, lub — starych, zupełnie, wprost nie do poznania przebudowanych. Warto istotnie poświęcić temu parę chwil uwagi.

Ostatnie pięć lat jest okresem widocznego pod każdym względem, a zwłaszcza przemysłowym i handlowym, rozrostu miasta. Widzimy na cichych, spokojnych ulicach miasta szeregi sklepów, których tam nigdy nie było, np. na ulicy Brackiej, Jagiellońskiej, św. Jana, Gołębiej, św. Krzyża, św. Tomasza i wielu innych. Dalej w ulicach głównych coraz bardziej zmniejsza się liczba mieszkań prywatnych, a wzrasta ilość różnych biur, kancelaryi, banków i t. d.

Nie zadowolają się one pierwszym piętrem, ale wchodzą wyżej, na drugie i do oficyn, zajmując wszystkie wolne pomieszczenia. W parze z tem idzie także niepomierne wzrost liczby szyldów i wszelkiego rodzaju reklam. Ta mania wielkich szyldów przybiera dziś zastraszające wprost rozmiary. W niektórych ulicach głównych, podobnie jak w Rynku, przechodzi wprost w orgie szyldowe; na Dominikańskim placu jeden ze składów mebli pokrył dosłownie cały dom trzypiętrowy wstrętnymi szyldami. Podobnych przykładów możnaby jeszcze dużo naliczyć. Nie lepiej przedstawiają się wejścia do domów, obite poprostu szeregiem najprzeróżniejszych reklamowych tablic rozmaitych biur, kancelaryi i warsztatów. Dodajmy do tego jeszcze liczne szafki wystawowe, wieszane na wrotach bramy lub sieni, a otrzymamy obraz widomego rozrostu miasta. Zwolna zatem śródmieście przekształca się w centrum ruchu handlowego, wypierając zeń życie prywatne, życie rodzin.

Ten wzrost ruchu handlowego w śródmieściu pociąga za sobą ustawiczne przemiany, przeróbki, przebudowy starych domów, wreszcie ich burzenie i wznoszenie na ich miejsce nowych. Celem całej tej pracy jest najlepsze wyzyskanie miejsca. Jednak tem wszystkim kieruje po największej części nie rozważa, ale przeważnie bezmyślność, podniecana gorączkową spekulacją. Tymczasem postępując z rozważą i namysłem, wprowadzając nowoczesne urządzenia, można stary dom również dobrze wy-



zyskać, nie naruszając zupełnie jego wartości historycznej i zabytkowej. Świetnym tego dowodem jest restauracja „Szarej kamienicy“, dokonana przez architektów Wyczyńskiego i Wojtyczkę. Właściciel jej, p. Szarski, złożył tem samem dowód wielkiego pietyzmu i poszanowania dla tak szacownego klejnotu, jakim jest ten zabytek.

To też restauracja „Szarej kamienicy“ obok wielkiego znaczenia ideowego może, nawet powinna być szkołą racjonalnej renowacji starego domu dla wszystkich następnych przeróbek w śródmieściu. Właściciel i architekci, prowadzący fabrykę, postavili sobie dwa główne zadania, jako linie wytyczne: przystosowanie domu do dzisiejszych potrzeb i zachowanie jego charakteru zabytkowego. Musieli zatem wybrnąć z trudnego zadania: pogodzić cele praktyczne z zabytkowo estetycznymi. Kto znał „Szara kamienicę“ przed restauracją, a zobaczy ją obecnie, ten zdziwi się niemal jej przemianą. Z przysłowiowej rudery krakowskiej stała się nowoczesnym domem dochodowym. Na zewnątrz tak od Rynku, jak od ulicy Siennej zachowała swój dawny wygląd: poważną, pełną majestatu fasadę, zamkniętą od góry okazałą atyką. Splendor domu podnoszą obecnie potężne oprawy okien z kamienia, zakryte poprzednio tynkiem, i szereg drobniejszych szczegółów, tu i owdzie odsłoniętych. Nie mało powagi i dostojności dodaje temu pomnikowi wspaniały olbrzymi portal kamienny, oczyszczony i ozdobiony nową, stylową bramą. Można jednak zauważyć, że dawna brama lepiej się harmonizowała z portalem niż nowa, która robi wrażenie — w stosunku do ciężkiego, poważnego kamienia — trochę za lekko, trochę za filigranowej.

Przez ogromną, wyniosłą sień, nakrytą wielkim stropem belkowym, dostajemy się na dziedziniec domu. Tu na pierwszy rzut oka uderza nas zaszła zmiana. Polega ona na zastąpieniu dawnych drewnianych ganków nowymi, o zgrabnej, lekkiej balustradzie z żelaza — i na uporządkowaniu całego podwórza. Sprawia to miłe, pociągające wrażenie. Dokoła dziedzińca rozłożyło się kilkadziesiąt mniejszych i większych mieszkań. Właściwie te wszystkie ubikacje były i dawniej, ale obecnie po ułatwieniu do nich przystępu i zaprowadzeniu wszystkich nowoczesnych urządzeń, wzrosła dopiero rentowność i praktyczność domu. A przytem każde z tych mieszkań czy lokali biurowych nosi na sobie jakąś pieczęć sławnego pochodzenia, bądź to w formie pysznego stropu belkowego, bądź portalu kamiennego, albo staro-

dawnych opraw okiennych. Bo właściciel i architekci czuwali nad tem, aby dom nic ze swych wiekowych splendorów nie uронił. Nową częścią domu jest wspaniała klatka schodowa — przestrona, widna i bardzo okazała.

Ta restauracja powinna być szkołą, jak należy odnawiać stare domy w Krakowie. W każdym nawet szczegółie widzimy tu celowość i praktyczność. A kto myślą sięga dalej w przyszłość, nie zawaha się ponieść na taką racjonalną przebudowę większej ofiary. Dawni patrycyusze krakowscy po dokonaniem, gruntownem odnowieniu domu, splacając szlachetnie ten dług wobec rodzinnego miasta, zwykle kładli dumny napis nad bramą domu: „Patriae et posteritati“. Taki też napis może słusznie położyć obecny właściciel „Szarej kamienicy“.

II. Charakter Rynku, gotycyzm Krakowa, fasady domów w Rynku, szkarpowatość murów, Krzysztofory.

Dużo się mówi o średniowiecznym charakterze krakowskiego Rynku. Określenie to przylgnęło nawet do jego powierzchni i stało się jedną z tarcz obrony przeciw dzisiejszym inowacyom. Tymczasem kwestya ta przedstawia się w rzeczywistości nieco inaczej. Przedewszystkiem trzeba zaznaczyć, że fizyognomia Rynku ma wcale niejednolity charakter. Czy można go nazwać gotyckim — trudno się zdecydować. Gotyckie są kościoły Maryacki i wieża Ratuszowa. Środek Rynku przecinają okazałe Sukiennice, przerobione przez Prylińskiego, właściwie gotycko - renesansowe, i mały, zgrabny kościółek św. Wojciecha. Oto cztery budowle zajmujące częściowo powierzchnię placu. Poza tem zamykają boki Rynku cztery linie domów. O domach tych, właściwie o ich fasadach, można wszystko powiedzieć, tylko nie trzeba ich zaciągać pod sztandar średniowiecza.

Domów z fasadami gotyckimi Rynek krakowski nie posiada. Chcąc być całkiem dokładnym, trzeba tu wprowadzić wspomnieć o domu przy Linii A—B pod Nr. 45. Jest to jednak właściwie nowa fasada gotycka, zrobiona na wzór zachowanych fragmentów na murze.

A jednak mimo to wszystkie domy Rynku krakowskiego wątkiem swych murów, a często nawet całem rozplanowaniem wnętrza należą do średniowiecza. Wiek czternasty i piętnasty, czasy największego rozkwitu miasta, musiały — rzecz prosta — wycisnąć dominujące piętno na charakterze świeckiego Krakowa. Dzisiej-



szy stary Kraków — to miasto powstałe głównie w okresie tych dwóch wieków, tak dalece, że kiedy z nastaniem szesnastego wieku ogromny napływ Włochów przynosi ze sobą nowy styl odrodzenia, zastaje potrzeby miasta w zakresie architektury w przeważnej części już zaspokojone, i dlatego udział renesansu w roli budowniczego miasta jest znacznie mniejszy niż gotyku.

Wnętrza domów w Rynku są jeszcze pełne reminiscencji, bądź to w postaci pięknych portali i bram podwórzowych, bądź opraw okiennych lub przepięknych sklepień gotyckich z herbami, jakich przykłady mamy w domach pod Nr. 8, 17 i 22, w Szarej kamienicy, w pałacu pod Baranami. Tu także trzeba zaliczyć piękne stropy belkowe, które choć, co się tyczy czasu powstania, wybiegają niekiedy poza średniowiecze, jednak formami należą doń bezprzecnie.

Co do fasad, to te przedstawiają całą gamę rozmaitych stylów i odcieni różnych czasów, od XVI w. począwszy. Właściwie nawet z XVI w. nie posiada Rynek krakowski fasady zachowanej bez zmian. Można by za taką uważać dawny dom włoskiej rodziny Montelupich del Mare pod l. 7. Dom ten posiada jeden z najpiękniejszych portali renesansowych miasta, pełen powagi i wyniosłości, z charakterystycznym napisem „Tecum habita“. Na fasadzie mieści się obok herbu dawnych właścicieli, także herb Galeotta Guiciardiniego z Florencji, jego pomocnika Tomasa Ferrowore i datę budowy 1556—1561. Późniejszą fasadę, już z XVII wieku, ma Szara kamienica: okna ujęte w kamienne oprawy, duży portal barokowy i typowa attyka. Pod koniec XVIII w. dom ten odnawiano i dodano mu podział na pilastry. Do XVIII w. należą fasady Spiskiego pałacu, dalej fasada hotelu Drezdeńskiego, poważna i okazała, trzykienne fasady domów pod l. 33 i 37. Powyżej wyliczone domy należą przeważnie do stylu barokowego.

Z końca XVIII w. pochodzi przepiękna fasada pałacu Jabłonowskich. Jest ona jednym z najpiękniejszych przykładów stylu Ludwika XVI w Krakowie. Obecny właściciel tego domu, Franciszek hr. Potocki, oceniając wyjątkowe piękno tego zabytku, przeprowadził jego gruntowną restaurację. Dokonali jej architekci Wyczyński i Wojtyczko, a wypadła ona pod każdym względem świetnie. Zwłaszcza dziedziniec i apartamenty pierwszego piętra odzyskały dawną okazałość, a w nowodobudowanej klatce schodowej umiano się wybornie dostosować do charakteru całości.

Następna epoka cesarstwa francuskiego

czyli t. zw. stylu *empire* posiada w Rynku kilka ciekawych przykładów. Do najpiękniejszych należą fasady pod l. 11 i 16. Pierwsza z nich obok t. zw. kamienicy przechodniej, o czterech oknach frontu, ozdobiona szeregiem istotnie pięknych szczegółów i ornamentów rzeźbionych (girland nad drugim piętrem) przedstawia smutny widok zaniedbania i opuszczenia. Dom ten należał niegdyś do rzeczypospolitej weneckiej. Jeszcze dziś można w podwórzu widzieć dumnego lewka weneckiego, z łapą wspartą na księdze pisma świętego. Drugi dom pod l. 16 może posłużyć jako przykład ładnie rozmiarowanych proporcji ścian i otworów okiennych. Również i tu podobnie jak w poprzednim zwraca uwagę stylowa dekoracja fasady. Reszta domów w Rynku posiada fasady, należące przeważnie do pierwszych dziesiątków lub pierwszej połowy minionego stulecia. Są one mniej lub więcej ozdobne i zawsze pełne powagi.

A jednak mimo, że przeważna część fasad w Rynku należy dopiero do minionego stulecia, Rynek krakowski odrazu na pierwszy rzut oka robi wrażenie czegoś starożytnego. Pochodzi to z pochyłości murów. Ta pochyłość czy szkarpowatość miasta jest najtypowszą cechą Krakowa. I dlatego chociaż czasem fasada domu niema nawet setki lat, to przecież dom uderza odrazu swą starożytnością. Naturalnie, że ta pochyłość występuje najlepiej w narożnikach i bokach domów. Rzućmy okiem na Szarą kamienicę. Narożnik sam ujmuje ogromną szkarpa, sięgająca aż pod trzecie piętro. Od ulicy Siennej cała powierzchnia domu ma typowo pochylę linie. Tak samo narożniki ulicy Brackiej, Wiślniej i św. Anny (pałac pod Baranami), św. Jana i ulicy Floryańskiej.

Najokazalej pod tym względem przedstawiają się Krzysztofory. Sam narożnik, a następnie boki od ulicy Szczepańskiej podpierają cztery olbrzymie szkarpy. Coś imponującego i niespożytego tkwi w tych murach. Są one podobnie jak Szara kamienica symbolem niejako Starego Krakowa. Mają podobnie — jak tamta, fasadę, późniejszą wprawdzie, jednak pełną powagi, nawet majestatu. Wartość jej leży właśnie w charakterystycznej prostocie, wolnej od wszelkich ornamentów i dekoracji. Domy tak starożytne — jak te oba — nie potrzebują się stroić, ani dekorować. Ozdobą ich jest przeszłość. W takich domach uosabia się najlepiej monumentalny pierwiastek miasta.

Nie miejsce tu i czas rozpisywać się nad ich historią czy wartością. Charakterystycznym był jednak moment, jaki miasto przeżyło nie-



dawno. Krzysztofora po długich targach i zabiegach zostały w końcu sprzedane. Wtedy gruchnęła wieść po całym mieście, że będą je burzyć. I wiadomość tę powtarzał cały Kraków, a jednak nikt w to nie chciał uwierzyć, aż w końcu nowonabywca p. Bazes sam tej pogłosce wobec oficjalnych czynników zaprzeczył. I jest to całkiem naturalne. Krzysztofora można przerobić, to i owo zmienić, nawet nadbudować, ale nigdy burzyć. A zresztą poco? Chcąc je wyzyskać jak najlepiej, wystarczy wezwać do pracy zdolnego architekta. Że stary dom można pod każdym względem doskonale do dzisiejszych potrzeb przystosować, tego najlepszym dowodem i przykładem jest Szara kamienica, która mimo swej rentowności zachowała charakter zabytku. Podobnie należy postąpić z Krzysztoforami. Przytem dom ten ma

takie położenie, że tam każdy lokal musi dawać znaczny dochód, choćby nawet sklep mieścił się w piwnicy. A równocześnie można go doprowadzić do dawnej świetności. Jakże okazałe będzie wyglądał w dziedzińcu piękny krużganek albo loggia pierwszego piętra. Dom ten wymaga i zasługuje rzeczywiście na racjonalną, pełną pietyzmu renowację. Szeregi wspaniałych portali barokowych, opraw okiennych, stropów belkowych, kominków marmurowych, wreszcie przepiękne stiuki pierwszego piętra, wyszłe z pod dłuta Baltazara Fontany — zasługują na to zupełnie.

Miejmy nadzieję, że dom z tyluwiekową i tak świetną przeszłością, poświęcony kilkakrotnie odwiedzinami kroków polskich, że dom ten, tak ciekawy zabytek dawnego budownictwa, nie ucierpi w rękach obcych właścicieli.

D. N.



Stary widok Zamku Sieradzkiego.



ZAMEK SIERADZKI.

domość o starym widoku zamku sieradzkiego, przechowującym się dotychczas na miejscu, oraz garstkę wiadomości zebranych w czasie kilkoletniego tam pobytu (1896—1900). Znajduje się on w kościele farnym, dawnej kolegiacie, po lewej stronie wielkiego ołtarza w prezbiterium na drewnianej zasuwie ołtarzyka Matki Boski Szkaplerznej. Widok przedstawia zamek i część miasta ujęte od strony południowej, malowany zaś jest przez Baltazara de Juncka w roku 1751, według podpisu i daty umieszczonych na oryginale. Deska drewniana, na której mieści się obraz, jest bardzo stoczona przez robaki i grozi w nieodległej przyszłości doszczętnem zniszczeniem.

(t) W uzupełnieniu drukowanego w №№ 21 i 22 „Ziemi“ opisu Sieradza nadsyła nam ks. L. Jung z Wrzący Wielkiej ciekawą wia-

Na miejscu, gdzie stał zamek, jest tylko pagórek, otoczony dokoła głęboką fosą, przez którą przejść można z łatwością. Most istnieje



jący dawniej, zniszczony. W skarbcu kościoła farnego sieradzkiego znajduje się ładny kielich z czasów Kazimierza Wiel., używany dotychczas.

Większy artykuł o Sieradzu, pióra ks. Łukasza Janczaka, pomieścił „Przegląd katolicki” z 1898 r. w Nr. 47.



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Dnia 21 b. m. powróciła do Warszawy wycieczka, prowadzona przez wiceprezesa M. Wisznickiego. Wycieczka ta z tego względu zasługuje na uwagę, że była to pierwsza większa wycieczka piesza, w której wzięły udział

panie. Uczestników było 15, w tej liczbie 6 pań. Marszruta wycieczki zakresłona była jak następuje: z Warszawy do Wąchocka koleją — z Wąchocka pieszo przez Siekierno i Bodzentyn do Św. Katarzyny, wejście na Łysicę i zwiedzanie okolic najbliższych, dalej szczytami pasma Łysogórskiego przez Św. Krzyż do Nowej Słupi, stąd przez Szczegło do Opatowa, z Opatowa przez Ujazd do Gorzkowa, dalej przez Bogoryę i Staszów do Rytwian. Stąd robione były wycieczki kołami do Kurozwęk i do klasztoru kamedułów w Rytwianach i przez Polaniec do Szwagrowa. Stamtąd znowu pieszo przez Niekrasów i Łoniów do Sulisławic i przez Koprzywnicę do Sandomierza. Po obejrzeniu Sandomierza Wisłą do Kazimierza, dalej pieszo do Puław i wreszcie statkiem do Warszawy.

Wszędzie, czy to na wsi, czy w mieście, czy we dworze, czy na plebanii — spotykało wycieczkę bardzo serdeczne i gościnne przyjęcie, — to też przewodnik wycieczki w imieniu wszystkich uczestników wyraża najserdeczniejsze podziękowanie ks. Tadeuszowi Malewskiemu i p. rejentowej Maryi Horodyskiej w Opatowie, pp. Michałostwu Rudzkiemu w Gorzkowie, pp. Stanisławostwu Karpowiczom w Rytwianach, p. Pawłowi Popielowi w Kurozwękach, pp. Kowalczewskim w Szwagrowie, ks. Trybalskiemu w Niekrasowie, hr. Stefanowej Moszyńskiej i hr. Moszyńskiemu w Łoniowie, ks. J. Zajackowskiemu w Sulisławicach, ks. prałatowi Puławskiemu w Koprzywnicy, pp. Maksymilianostwu Skotnickim w Skotnikach i p. G. Ząbkowskiemu w Sandomierzu.

Właściwa wycieczka piesza trwała 10 dni i ogółem zrobiono pieszo przeszło 190 wiorst. Pogoda bardzo niepomyślna, dżdżysta i słotna w tym czasie, niezbyt jednak dała się we znaki wycieczce: — deszcz padał stale tylko przez jeden dzień, poza tem zaś z wyjątkiem dwóch krótszych przemoknięć unikano szczęśliwie chmur, przechodzących bokami. Panie zdały świetnie egzamin wytrzymałości i absolutnie nie ustępowały mężczyznom, przemarsze odbywały się nadspodziewanie szybko i sprawnie: największy przemarsz 4-milowy z Nowej Słupi do Opatowa zrobiono w 8 g. 20 m. — wliczając w to wypoczynki i obiad. Miło, że wszyscy nieśli cały swój bagaż w workach podróżnych, zmęczenie nie dało się odczuwać, tak samo nie zaszkodziło nikomu parokrotne zmoknięcie — wszyscy wrócili do Warszawy nie tylko ze zdrową cerą ale — jak się pokazało — ze znacznym przybytkiem wagi — dochodzącym u niektórych do 5 funtów, — zwiędzono zaś i poznano sporą połać kraju, mało znaną dzięki oddaleniu od kolei, a obfitującą w prawdziwe bogactwa tak pod względem zabytków jak i fizyograficznym.

oooooooooooo

Nowe książki.

Dr. Mieczysław Orłowicz. Co zwiedzać można w Galicji (wskazówki dla turystów) z 19 ilustracyami w tekście, str. 48. Lwów 1913. Nakładem autora.

„Nie posiadamy niestety na razie polskiego przewodnika turystycznego po Galicji...”

Te wstępne słowa autora, przetłumaczone na którykolwiek z języków obcych, byłyby dla cudzoziemca, przypuszczam, wręcz niezrozumiałe. Zwłaszcza, gdyby się zarazem dowiedział, że mamy, a przynajmniej mieć niezadługo będziemy przewodnik po Galicji, wydany za hojnie ofiarowane pol-



skie pieniądze w języku ...niemieckim. Dla nas, bardziej z przedziwną choć tem nie mniej bolesną wymową pewnych faktów otrząskanych, są to rzeczy zwykłe i zrozumiałe. Można bez podkreśleń i afektacji poprzestać na zaznaczeniu, że na wydanie książki ułatwiającej polskiemu wędrowcowi poznanie jednej z najpiękniejszych ziem polskich, brakuje dotychczas wydawcy. Czy może brakuje dotychczas energii.

Bądź co bądź słusznem jest, że zaradzając skandalicznemu brakowi wydał p. Orłowicz broszurkę, nie będącą wprawdzie właściwym przewodnikiem, ale zastępującą przewodnik w pewnych skromniejszych bodajby rozmiarach. Jest to szereg ogólnikowo z konieczności ujętych opisów, dających pojęcie o wybitniejszych czynnikach, składających się na całokształt piękności i charakteru kraju. Mamy więc Karpaty i Tatry, okolice Krakowa, Lwowa i Podola, zdrowiska i letniska, lasy, parki, wycieczki wodne, osobliwości przyrody, miasta, miasteczka, budowle, zabytki historyczne i przedhistoryczne, lud i sztuka ludowa, muzea i biblioteki, fabryki i kopalnie, koleje i drogi, towarzystwa turystyczne, wreszcie literatura turystyczna i mapy. Układ oryginalny, ułatwiający istotnie czytelnikowi, zwłaszcza mniej z krajem obeznanemu, zorientowanie się w chaosie zjawisk i szukanie dróg, skłonnościom i upodobaniom jego odpowiadających. Za to wskutek takiego metodycznego rozczłonkowania tematu nie dało się uniknąć wielokrotnego powracania do tych samych miejscowości, niekiedy nawet do tych samych lub wielce pokrewnych zjawisk. Informacje są ściśle, z konieczności wprawdzie związane ale wyraźne i wystarczające, wybór miejsc i przykładów ilustrujących całość trafna.

Zewnętrznie książka, ozdobiona licznymi i ładnie wykonanymi ilustracjami, przedstawia się bardzo schludnie i miło.

Jako pierwszy krok tego odłamu literatury krajoznawczej powitać trzeba dziełko p. Orłowicza z rzetelnem uznaniem.

T.-t.

oooooooooooo

Kronika krajoznawcza.

+ W Besarabii, na polach wsi Sawki, w noc z dnia 6 na 7 października 1620 roku poległ hetman Żółkiewski, kiedy przedzierał się z pod Cecory przez zastępy Turków i Tatarów. Żona wzniosła mężowi pomniczek z wapienia, z wmurowaną tablicą murowaną i napisem łacińskim: „Przechodniu! Jeśliś poganinem jest — nie żałuj kamienia, jeśli chrześcijaninem — za wiarę Chrystusową w kościele ofiary nie odmawiaj. Ktokolwiek to miejsce nawiedzisz — jak słodko i pięknie umierać za ojczyznę — ze mnie się ucz”.

O pomniku tym z biegiem czasu zapomniano. Burze i wojny zrujnowały go i zmieniły w kupę gruzów. Pamiętała o nim inteligencja z Mohyłowa Podol., z ks. Holubeckim na czele. Grono ludzi dobrej woli zakrzętało się około uzyskania pozwolenia na odbudowanie zrujnowanego pomnika. Utworzył się komitet, do którego weszli pp.: Tomasz Michałowski, Józef Orłowski, Franciszek Pułaski, Soter Łaski, hr. Tomasz Łubieński i Wacław Kraj-ski. Przez lat kilka dokładano starań, aby pozwolenie władz uzyskać. Wreszcie w r. 1911 p. Piotr Nowacki, członek petersburskiego instytutu archeologicznego otrzymał w tej mierze pozwolenie i przystąpił do budowy w czerwcu 1912 r. Koszt tej budowy wynosił 1,039 rb. 96 kop. Pomnik ma 7 metrów wysokości i we wnętrzu swem zawiera szczątki dawnego pomnika.

TRĘŚĆ: *St. Mutusiak* — Jeszcze o naszej drużynie weselnej (dok.). *Stefania Sempolowska* — Mazury Pruskie. *Jerzy Lande* — Z Tatr (z 3 ryc.) (dok.). *Franciszek Klein* — O zachowanie śródmieścia. (t) — Stary widok zamku Sieradzkiego (z 1 ryc.). — Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Nowe książki. — Kronika krajoznawcza. — Poza tekstem: Rusin z okolic Mizocza, pow. dubieński. Typy rusa- nek z okolic Mizocza, pow. dubieński.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście (motywy łowickie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Papier krajowy z fabryk A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.